

Teksty Drugie
2011, 6, s. 90-100



Kryzys legitymizacji literaturoznawstwa.

Stanisław Wójtowicz

Stanisław WÓJTOWICZ

Kryzys legitymizacji literaturoznawstwa

Istnienie dyscypliny jest, jak wskazuje Stanley Fish¹, zależne od dwóch czynników. Podstawowym warunkiem funkcjonowania dyscypliny jest jej dystynktywność względem innych dyscyplin, którą gwarantują generatywny dla przedmiotu badań słownik i zbiór wyraźnie określonych praktyk badawczych. Swoją aktualny kształt literaturoznawstwo uzyskało, gdy wykrystalizowało się jasne pojęcie tego, czym jest interpretacja literacka – tak jak ją dziś rozumiemy – a więc próbą całościowej egzegezy znaczenia dzieła literackiego. Paradymatycznym pytaniem literaturoznawczym jest według Fisha pytanie: „co dany wiersz (powieść, dramat) znaczy” (PC, s. 25). Zadaniem literaturoznawców jest interpretowanie i wyjaśnianie tekstów literackich, a także porządkowanie tych interpretacji. Nowoczesne literaturoznawstwo powstało w momencie, gdy badacze literatury (czy szerzej: piśmiennictwa) wyodrębnili (nie na zasadzie świadomej decyzji, lecz w wyniku powolnego przekształcania się kategorii poznawczych strukturyzujących ich sposób postrzegania rzeczywistości) czynność interpretacji jako niezależną aktywność poznawczą, która jest odróżnialna na przykład od rozbioru gramatycznego, wartościowania dzieła literackiego czy analizy ideowej zawartości dzieła i reszty aktywności, które wiązały się kiedyś z badaniem literatury. Istnienie interpretacji literackiej i związanych z nią metod porządkowania materiału literackiego (dokonywanego ze względu na to, co ta interpretacja odkrywa) ukonstytuowało immanentną inteligibilność dyscypliny i zapewniło jej dystynktywność względem innych

¹ S. Fish *Professional correctness. Literary studies and political change*, Oxford University Press, Oxford 1995, s. 19. Cytaty lokalizuję w tekście po skrócie PC.

przedsięwzięć badawczych, takich jak historiografia, filozofia czy językoznawstwo. Immanentna inteligibilność, dystynktywność są warunkami koniecznymi istnienia dyscyplin, dyscypliny nie istnieją jednak na obszarze teorii, ale pojawiają się w określonej sytuacji kulturowej i w związku z tym potrzebują materialnego wsparcia umożliwiającego ich rozwój. Przechodzimy tu do drugiego warunku istnienia dyscypliny: musi ona przynosić zyski nie tylko tym, którzy ją uprawiają, ale także tym, którzy pozostają poza jej obszarem, a którzy posiadają środki niezbędne dla jej utrzymywania. Jak wskazuje Fish (zob. np. PC, s. 22, 29-30, 93-114), gdy pytamy o sens istnienia dyscypliny, pytamy o uzasadnienie wewnętrzne (co produkuje), ale także o uzasadnienia zewnętrzne: w jaki sposób ów produkt (w naszym przypadku opisy dzieł literackich) mogą wykorzystać ci, którzy nie zajmują się jego wytwarzaniem? Odpowiedź na pytanie o uzasadnienia zewnętrzne w odniesieniu do badań literackich nie jest tak oczywista, jak w przypadku innych gałęzi humanistyki czy nauk ścisłych. O ile ktoś mający podstawową wiedzę dotyczącą fizyki z łatwością określi, jakie zyski czerpie społeczeństwo z jej uprawiania, o tyle nawet sami literaturoznawcy mają problemy z odpowiedzią na pytanie o zysk płynący z badań literackich. Jakikolwiek kształt przyjmuje ta odpowiedź, jest ona wariacją metafory „naczyń połączonych”. Ponieważ kulturę można konceptualizować jako taki zestaw naczyń połączonych, praca literaturoznawcza w trudny do zbadania, ale realny sposób przenika do powszechnego obiegu, czyniąc społeczeństwo lepszym: moralnie, intelektualnie i emocjonalnie. Tezy zawarte w naszych artykułach, wykładach, wygłaszane podczas dyskusji zakładowych niepostrzeżenie przenikają do obiegu kulturowego, pozwalając członkom społeczeństwa lepiej orientować się w otaczającym ich świecie coraz bardziej skomplikowanych wytworów kultury. Niewymierność tego wpływu ma dwa oblicza. Z jednej strony umożliwia prostackie ataki na humanistykę, które z faktu, iż nie można znaleźć prostego przelicznika interpretacji literackiej na materialny zysk, wyciągają wniosek, iż literaturoznawstwo jest bezwartościowym mnożeniem semantycznych bytów. Z drugiej – służy literaturoznawcom jako tarcza do obrony przeciw tym, którzy krytycznie patrzą na humanistykę i sposoby jej finansowania. Literaturoznawcy (jak wszyscy, którzy zajmują się tworzeniem lub badaniem sztuki) lubią myśleć o swojej działalności jako spoiwie łączącym społeczeństwo w całość, bez którego rozpadłoby się ono i pogrążyło w bezmyślnym konsumpcjonizmie, a właśnie niemożność dokładnego określenia wpływu literaturoznawstwa na świat pozaakademicki, umożliwia takie megalomańskie przekonania. Niezależnie, który punkt widzenia przyjmiemy, jedno jest pewne: nie wiadomo, w jaki sposób mierzyć zysk płynący z badania literatury lub ocenić, jak ma się ten zysk do zysków płynących z innych dyscyplin.

Zauważmy, że nie jest to problem, który nie daje literaturoznawcom spokoju: o ile w ostatnich latach byliśmy świadkami wielu debat wewnątrzdyscyplinarnych, o tyle uzasadnienia zewnętrzne przywoływane są w refleksji literaturoznawczej niezwykle rzadko – zazwyczaj w formie marginesowych, a zarazem ogólnych (znaczące połączenie) twierdzeń o kluczowej roli badania literatury dla funkcjonowa-

nia społeczeństwa. Paradoksalnie przemilczanie problemu może wydawać się sensowną strategią: często najlepszą taktyką w tego typu sporach jest przerzucenie ciężaru dowodzenia na drugą stronę. Póki co, prawie nikt nie atakuje wydziałów humanistycznych, a każdy taki atak obezwładnić można prostym szantażem emocjonalnym, wskazując, że ci, którzy rzekomo chcą uwolnić podatników od opłacania odgórnie sterowanej kultury, dokonują na nią zamachu. Aktualnie ciężar dowodzenia spoczywa na krytykach literaturoznawstwa, a tych jest niewiele z prostego powodu, iż musieliby rekrutować się z wnętrza dyscypliny. Jednak w pewnym momencie (powiedzmy: kryzysu ekonomicznego) ciężar argumentacji przerzucony zostanie na literaturoznawców i to oni będą musieli dowodzić (a mogą mieć na to niewiele czasu) wpływu dyscypliny na rzeczywistość poza murami akademii. Choć w niniejszym artykule przekonywać będę, że winniśmy zrezygnować z finansowanego publicznie literaturoznawstwa, to ci z Państwa, którzy nie zgadzają się z tą tezą (a więc wszyscy), mogą traktować ten tekst jako wskazanie, że problem uzasadnień zewnętrznych może stać się w najbliższym czasie najważniejszym problemem dyscypliny.

Jak wskazywałem, nie da się określić w bezwzględny sposób zasięgu wpływu literaturoznawstwa na społeczeństwo, ale da się to zrobić w sposób względny: chciałbym wskazać na kilka przesunięć, które miały miejsce w naszej kulturze, a które zmniejszyły wpływ literaturoznawstwa na obszary znajdujące się poza dyscypliną. Pierwszym i najważniejszym czynnikiem jest rozwój nowych mediów. Osiągnął on „masę krytyczną” wraz z pojawieniem się Internetu. Media zawsze miały dwójaki wpływ na funkcjonowanie literatury: z jednej strony stymulowały jej rozwój i zainteresowanie nią, z drugiej – odbierały jej część funkcji społecznych. Gdy sugeruję, że cios ostateczny (choć nie śmiertelny) został zadany literaturze wraz z pojawieniem się Internetu, to nie chodzi mi o to, że ludzie przestają się nią interesować (przeciwnie, wraz z rozwojem społeczeństw informacyjnych i umasowaniem szkolnictwa wskaźniki czytelnictwa rosną), ale o to, że drastycznie zmieniła się rola literatury w społeczeństwie. Literatura nie znika, ale pełni inną funkcję – w o wiele mniejszym stopniu modeluje nasze poznanie i doświadczenie, a w większym stopniu dostarcza (bardziej lub mniej skomplikowanej) rozrywki. Próg nasycenia informacyjnego został dawno przekroczony, co wymusza na podmiotach radykalną selekcję informacji, której ofiarą pada literatura. Rozwój mediów elektronicznych połączony z ekonomicznym i politycznym zniesieniem granic sprawił, że członkowie społeczeństwa mogą dotrzeć praktycznie do dowolnej informacji na dowolny temat (i do dowolnego miejsca na świecie, jeśli nie materialnie, to wirtualnie), co powoduje, iż literackie zapośredniczenie doświadczenia straciło na wartości. W autokreacji współczesnego podmiotu (zarówno tego jednostkowego, jak i społecznego) materiał literacki jest wykorzystywany w nieporównywalnie mniejszym stopniu niż kiedyś, zastąpiony przede wszystkim bezpośrednim lub wirtualnym kontaktem, informacjami medialnymi, serialami, filmami czy piosenkami. W wartościach bezwzględnych czyta się na świecie oczywiście więcej, ale wpływ czytania na sposób postrzegania rzeczywistości zmniejszył się drastycznie.

Zanim zacznę mówić o drugim powodzie, który sprawia, iż literaturoznawstwo (teraz już konkretnie: w naszym kraju) traci swoją społeczną relewancję, chciałbym wskazać na istotną wątpliwość dotyczącą Fishowskiego opisu warunków funkcjonowania dyscypliny. Argumenty Fisha nie tylko są teoretycznie przekonujące, lecz także znajdują potwierdzenie w problemach amerykańskich wydziałów anglistyki, na których programy nauczania – nasączone ideami ukulturowienia i upolitycznienia literaturoznawstwa – powoli rozpadają się i zmieniają w zlepek pozbawionych dyscyplinarnego centrum aktywności, oscylując luźno (i jak wskazuje Fish, z dramatycznym dla edukacji skutkiem) wokół dyskusowania na podstawie dowolnych lektur o palących problemach społecznych. Fish ma rację, gdy wskazuje, że upolitycznienie literaturoznawstwa (które ma mu zapewnić społeczną relewancję) prowadzi do dezintegracji dyscypliny, ale śpiewając (w *Professional Correctness* i późniejszych pracach) hymn pochwalny na cześć profesjonalizmu i hermetyczności dyscyplin akademickich, zapomina, że dystynktywność literaturoznawstwa od zawsze była podejrzana dla przeciwnika o wiele groźniejszego niż marksiści czy Nowi Historycyści – dla zwykłego czytelnika. Fish interesuje się jedynie wewnątrzakademicką dystynktywnością, gwarantowaną rzeczywiście wyłącznie przez literaturoznawstwo egzegetyczne, na rzecz którego argumentuje (przeciwko badaniom kulturowym, feminizmowi czy dekonstrukcjonizmowi), jednak odwiecznym problemem literaturoznawstwa jest jego niepewny status, który wynika z faktu, iż w idealnej sytuacji komunikacyjnej literaturoznawcze wyjaśnienie tego, co tekst znaczy, nie jest potrzebne, gdyż autor i odbiorca doskonale się rozumieją. Fish pomija w swoich rozważaniach zdroworoządkowy argument, iż pisarze tworzą dla czytelników, a nie dla literaturoznawców, a w związku z tym status literaturoznawczego zapośredniczenia (przynajmniej jako dyscypliny) jest wątpliwy. W tym momencie chciałbym wprowadzić rozróżnienie na literaturę, która wymaga takiego zapośredniczenia, i taką, która rozumiała jest sama przez się. Oczywiście wiadomo, że nie jest rozumiała samo przez się, że literatura jest zawsze intertekstualna i że o rozumieniu tekstu decyduje zakres intertekstualności, który zinterioryzował czytelnik; chodzi mi jednak o różnicę między tekstami, które odwołują się do zakresów ogólnie przyswojonej intertekstualności, a takimi, które odwołują się do takiej intertekstualności, której zinterioryzowanie możliwe jest tylko w wnętrzu literaturoznawstwa, gdyż jej konteksty zostały zatarte i nie są możliwe do zrekonstruowania dla kogoś spoza obszaru dyscypliny. Choć sytuacja idealnego porozumienia nigdy nie obejmie całości wymiany kulturowej, społeczeństwo naturalnie do niej dąży, odrzucając te teksty, które nie są rozumiałe i wymagają zapośredniczenia, gdyż w większości przypadków nie jest to związane z żadną realną stratą (którą mogłoby grozić na przykład zaprzestanie pracy nad modyfikacją białek czy zignorowanie socjologicznych raportów lub badań nad historią). Literaturoznawcy nie mają monopolu na instytucję literatury, która jest i działa niezależnie od nich, a gdyby było inaczej, nie mogłaby istnieć. Literaturoznawstwo ma problem nie tylko ze społeczną relewancją, ale i z dystynktywnością, a obie te kwestie łączą się w zabójczy dla dyscypliny chiasm: to, co w literatu-

roznawstwie jest dystynktywne nie jest społecznie relewantne, a to co jest społecznie relewantne, nie jest dystynktywne. Literaturoznawcy od zawsze próbują zrobić to błędne koło czy samospełniającą się przepowiednię. Jednym z czynników, który odgrywał ważną rolę w próbach podłączenia się do społecznego obiegu, była szkoła – i tu przechodzimy do drugiego czynnika zmiany sytuacji literaturoznawstwa. Tradycyjny kanon literacki, którego nauczano w szkole, prawie w całości składał się z utworów, które wymagały literaturoznawczego zapośredniczenia, co posiadało trzy konsekwencje: po pierwsze, literaturoznawcy musieli dostarczać szkolnej polonistyce egzegez literackich (zapewniając zbyt dla swojego produktu); po drugie, kolejne pokolenia poznawały teksty (które w umiarkowanym stopniu budziły ich zainteresowanie) niezrozumiałe bez zapośredniczenia; po trzecie wreszcie, trzeba było wykonać wielką pracę propagandową – wskazując na kanon literacki jako centrum naszej kultury. Nowoczesna szkoła porzucając tradycyjny kanon, przestała „zamawiać” u literaturoznawców ich produkt, wpuszczać do obiegu utwory wymagające zapośredniczenia i wmawiać kolejnym pokoleniom, że pomysłowość społeczeństwa zależy od znajomości *Pana Tadeusza* czy od tego, na ile Słowacki nas zachwyca. Opóźnione w czasie efekty tych zmian owocować będą niebawem coraz większą separacją literaturoznawców od społeczeństwa.

Ostatnim (i, jak się zdaje, ważniejszym niż poprzedni) czynnikiem, który chciałbym rozpatrzeć, jest kwestia funkcjonowania literatury na wolnym rynku. Choć literaturoznawstwo znajduje się aktualnie poza mechanizmem weryfikacji wolnorynkowej, to jednak podlegają mu współcześni pisarze i ich wydawcy. Zarówno pierwsi, jak i drudzy muszą podjąć prostą decyzję, czy uzależniać powodzenie swojej działalności od maszyny literaturoznawczej egzegazy, czy pisać, wydawać i reklamować teksty, które czytelnicy są w stanie przyswoić samodzielnie. Mechanizm rynkowy promuje takie teksty (zarówno współczesne, jak i dawne), które da się sprzedać i czytać bez pośredników i nie ma to związku z ich kulturową wartością: jest czymś naturalnym, że teksty niezrozumiałe w momencie ich powstania lub dwieście lat po ich publikacji, cieszą się umiarkowanym zainteresowaniem społecznym, a takimi tekstami, siłą rzeczy, zajmuje się literaturoznawstwo. To sprawia, że działania badaczy literatury nie odpowiadają zapotrzebowaniom społecznym, uniemożliwiając wzajemną komunikację. To prawda, że zawsze znajdują się ludzie, którzy będą fascynować się niszowymi pisarzami, publikować ich dzieła i fundować stypendia czy nagrody, jednak są to zjawiska marginalne, które nie mają wystarczającego zasięgu, by uzasadnić istnienie dyscypliny w jej aktualnym kształcie. Odgórne finansowanie literaturoznawstwa połączone z wolnym rynkiem literatury tworzy schizofreniczną sytuację, w której znawcy literatury odciągani są od handlu swoimi umiejętnościami po to, by rozwijać paradygmat dyscypliny akademickiej, na którą nie ma zapotrzebowania.

Ostatni problem jest szczególnie interesujący, wskazuje bowiem, jak sposób finansowania literaturoznawstwa (uwalniający uzasadnienia wewnętrzne od presji zewnętrznych) sprawia, że zastyga ono w formach, które nie są dopasowane do potrzeb społeczeństwa. Sprawa wymaga głębszego zastanowienia, gdyż wbrew po-

zorem nie chodzi o to, by badacze literatury praktykując swoją dyscyplinę, mieli na uwadze pożytek społeczny. Fish wskazuje wielokrotnie, że dyscyplina, by skutecznie działać, musi być hermetyczna i nie powinna oglądać się na zewnętrzne cele. Gdy fizyk projektuje doświadczenie, nie robi tego (nawet, gdy tak mu się wydaje) z myślą o zysku, jaki może ono przynieść, ale ze względu na konstytuującą dyscyplinę praktyki postępowania. Podobnie literaturoznawca nie może myśleć (wykonując swoją pracę, a nie w refleksji o niej) o zysku społecznym, który ma przynieść jego badanie, gdyż to sprawi, że zamiast objaśniać teksty, zacznie tak dobierać interpretacje, by przysłużyły się określonej sprawie, a ostatecznie uzna, że praca ta jest tylko przeszkodą w osiągnięciu jakiegoś pozaliterackiego celu. Literaturoznawca musi działać wewnątrz ram dyscypliny (musi być poprawny profesjonalnie, a nie politycznie), choć nie powinno się ich postrzegać jako ograniczeń uniemożliwiających wyjście poza dyscyplinę, a jako platformę umożliwiającą robienie tego, czego poza tymi ramami zrobić się nie da. Nie chodzi więc o to, by literaturoznawca był zatroskany problemami społecznymi (tak jak policjant nie powinien – w godzinach pracy – filozofować na temat istoty sprawiedliwości), ale o to, by paradygmat był tak ustawiony, żeby jego realizacja samorzutnie odpowiadała na część z tych problemów. Spróbuję pokazać, że jest to niemożliwe ze względu na naturę interpretacji literackiej.

Interpretację – na podstawie ustaleń Fisha² – zdefiniować można jako aktywność kognitywną polegającą na produkowaniu tekstu i jego znaczenia (które są tym samym) przez podmiot, którego poznanie jest ukształtowane przez więzkę określonych presupozycji interpretacyjnych, zinterioryzowanych przez niego w trakcie socjalizacji. Zmiana interpretacji może nastąpić jedynie wtedy, gdy zmienią się nasze założenia. Spór interpretacyjny nie toczy się tak naprawdę o to, jaka interpretacja jest właściwa, ale o to, jakie założenia interpretacyjne należy przyjąć. Ale założenia, które produkują interpretacje, nie są czymś, co objawia się, gdy interpretujemy tekst: to, od czego zależy nasze rozumienie, jest przed nami ukryte. Oznacza to, iż wiedza o tym, że ktoś rozumie tekst w jakiś sposób, nie sprawia, że i my zaczynamy tak rozumieć. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, celem egzegezy nie jest przekonanie kogoś do interpretacji. Egzegeza mówi jedynie o tym, jak ktoś tekst rozumie, nie mówi ani dlaczego tak jest, ani co mamy zrobić, by to rozumienie osiągnąć. Jeśli ktoś podziela te same presupozycje co my, widzi to samo, co my, a wtedy egzegeza nie jest potrzebna. Jeśli ktoś ich nie podziela, nie zostanie do nich przywieziony przez egzegezę, gdyż nie mówi ona o tych presupozycjach, ale o ich produkcji, samej interpretacji. Prowadzi do wniosku, iż produkt literaturoznawczy (opisy dzieł literackich) nie może być sprzedawany poza

² Opieram się przede wszystkim na tekstach zawartych w: S. Fish *Is there a text in this class. The authority of interpretive communities*, Harvard University Press, Cambridge, Mass. 1980; tegoż *Doing what comes naturally. Change, rhetoric, and the practice of theory in literary and legal studies*, Duke University Press, Durham 1989; a także cytowanej już *Professional correctness*.

akademią, gdyż jest sensowny i inteligibilny tylko w jej wnętrzu. Wiedza o tym, że ktoś rozumie jakieś dzieła literackie tak a nie inaczej jest bezwartościowa, jeśli nie staje się impulsem do zmiany tego rozumienia, a zmiana ta jest możliwa tylko przez uczestnictwo w dyskursie akademickim. Egzegeza dzieła literackiego, będąca śladem rozumienia, nie posiada samoistnej wartości, może wykonywać realną pracę tylko, gdy staje się narzędziem do zmiany podmiotu. Paradygmat literaturoznawstwa nie może być tak ustawiony, aby przynosić zysk poza akademią, gdyż by korzystać z dobrodziejstw literaturoznawstwa, musisz być jego częścią. Podczas gdy fizycy mówią: dajcie nam pieniądze, siedźcie sobie w domu, a za jakiś czas dostaniecie nowe technologie, literaturoznawcy chcą od nas pieniędzy na autokreację, która może stać się naszym udziałem jedynie wtedy, gdy sami zostaniemy literaturoznawcami. Jak pisał Richard Rorty, powołując się na Harolda Blooma: „celem czytania wielu książek jest stanie się świadomym wielkiej liczby alternatywnych celów, a sensem tego jest stanie się autonomiczną osobą”³. Produktem literaturoznawczego działania nie jest wiedza, ale intertekstualna sieć, którą interioryzują badacze w procesie poznawania literatury, a która pozwala im udoskonalić ich tożsamość. Oczek tej sieci nie da się po prostu wyjąć i dać społeczeństwu do zabawy.

Mówiąc o autokreacyjnym charakterze literaturoznawstwa, nie odkrywam oczywiście niczego nowego, a jedynie staram się zamienić miejscami marginesy z centrum i dostarczyć teoretycznego uzasadnienia dla dość powszechnego wśród literaturoznawców przekonania, że istotą literaturoznawstwa jest jego nauczanie: praca ze studentami. Nie jest to, jak sądzę, pocieszenie, którym karmią się starsi, wyzbyci złudzeń badacze, których prace, rekonstruuje poetykę jakichś pisarzy, nie przedostały się do społecznego obiegu, ale świadome bądź nie odkrycie, iż wiedzę literaturoznawczą można przekazać tylko komuś, kto też chce zostać literaturoznawcą. Literaturoznawstwo jest jednym z niewielu obszarów kultury, do którego pasuje nieco głupie powiedzenie, że nie jest zawodem czy aktywnością, ale stylem życia. Cechy tej literaturoznawstwo nie dzieli z innymi obszarami humanistyki. Weźmy na przykład historiografię czy socjologię: ich owocami z łatwością mogą żywić się ci, którzy się nimi nie zajmują. Są to dziedziny, które wytwarzają wiedzę w obrębie pewnych założeń, ale może ona być wykorzystywana przez tych, którzy tych założeń nie podzielają. Oferując różne obrazy przeszłości czy relacji społecznych, historycy i socjologowie dają nam gotowe produkty, z którymi zrobić możemy, co tylko chcemy. Opisy produkowane przez literaturoznawców nie dają się wykorzystać, są raczej zaproszeniami do wejścia w świat literatury, reklamami mówiącymi: możecie rozumieć tak jak my, możecie stać się do nas podobni. Ktoś mógłby zaprotestować, że literaturoznawstwo zajmuje się także porządkowaniem wiedzy o literaturze, a nie tylko interpretacją, ale wiedza ta (o tym, kiedy urodził się Mickiewicz, gdzie pobierał nauki i co wpłynęło na jego poglądy estetyczne) ma

³ R. Rorty *Zmierzch prawdy ostatecznej i narodziny kultury literackiej*, przeł. A. Szahaj, „Teksty Drugie” 2003 nr 6, s. 115.

znaczenie tylko i wyłącznie dla tych, którzy potrafią za pomocą dzieł Mickiewicza dokonywać autokreacji, a więc rozumieją jego dzieła. Dla osoby spoza literaturoznawstwa fakty historycznoliterackie pozostają bez jakiegokolwiek znaczenia.

W tym momencie dochodzimy do kwestii finansowania literaturoznawstwa. Jeżeli, jak wspomnieliśmy, produkt literaturoznawczy jest zaproszeniem do autokreacji, to ktoś musi to zaproszenie przyjąć. Kultury nie można traktować jako obowiązkowej szczepionki czy witaminy dodawanej do produktów żywnościowych, która działać będzie mimo naszej woli czy bez udziału świadomości. Jak próbowałem wskazywać w poprzednich fragmentach (wbrew temu, co w latach 80. i 90. uważali zamknięci w świecie książek prominentni myśliciele tacy jak Rorty, Fish czy Bloom), znaczenie literatury w autokreacji współczesnego podmiotu jest coraz mniejsze, znaczenie literatury wymagającej zapośredniczenia literaturoznawczego poza obszarem dyscypliny – bliskie zeru, zaś natura interpretacji literatury uniemożliwia działalności literaturoznawczej wykonywanie realnej pracy poza obszarem dyscypliny. Należy zastanowić się, czy finansowane z podatków, zinstytucjonalizowane literaturoznawstwo jest rzeczywiście najlepszym rozwiązaniem, czy odmowa utrzymywania wydziałów literaturoznawczych przez państwo nie okazałaby się korzystna nie tylko dla społeczeństwa, lecz także dla literatury i wreszcie dla literaturoznawców?

Istnieje silne przekonanie społeczne, że kultura winna być wyłączona spod kontroli rynkowej. Argument jest prosty – prawdziwa, nowatorska, głęboka, transgresyjna, rewolucyjna, awangardowa sztuka nie cieszy się społecznym zainteresowaniem, a poddanie jej rynkowej weryfikacji jest równoznaczne z jej uśmierceniem, dlatego musimy podtrzymywać system, który produkuje, tłumaczy i promuje taką kulturę niezależnie od popytu na nią. Nakłady na kulturę są niewspółmiernie małe do zysków, które ona przynosi, i muszą zostać poniesione w imię wspólnego dobra. Kontrargument jest również prosty. Jeśli społeczeństwo ma ochotę zajmować się kulturą, będzie mu zależało na jej utrzymaniu, jeśli zaś nie chce jakichś jej wersji, to czemu samo narzuca sobie obowiązek ich finansowania? Choć w retoryce broniącej wspierania kultury mówi się o dbałości o pomyślność społeczeństwa, tak naprawdę opiera się ona na przekonaniu, iż społeczeństwo składa się w większości z bezmyślnych zwierząt, które trzeba ucłowieczać poprzez odgórnie finansowaną i sterowaną kulturę, która w innym wypadku zostałaby natychmiast porzucona na rzecz bezmyślnej konsumpcji. Ale jeśli dziesięć procent społeczeństwa chce zajmować się kulturą wysoką, czemu po prostu tego nie robi, ale chce zmuszać resztę do finansowania tych aktywności? Przecież pozostała część społeczeństwa nie zmusza ich, by wydawać pieniądze na kulturę popularną. Jeśli społeczeństwo potrzebuje kultury, to będzie ją kupowało od tych, którzy zawodowo zajmują się jej produkcją, jeśli jakieś jej formy są niepotrzebne – muszą zniknąć. Argument mówiący o tym, że jest ona potrzebna wszystkim, ale nie rozumieją tego niższe klasy (jakoś trzeba nazwać tych, którzy odrzucają kulturę, którą my promujemy, a jeśli nazwiemy ich samoświadomymi podmiotami, to nasza argumentacja padnie), jest o tyle fałszywy, gdyż podatki, z których się tę kulturę fi-

nansuje, uderzają najsilniej właśnie w najniższe klasy (a wraz ze wzrostem podatków maleje możliwość korzystania z kultury), zaś sposób, w jaki się to robi, unieвозмоżliwia im korzystanie z niej, gdyż, jak wskazywałem, by np. korzystać z literaturoznawstwa, trzeba stać się jego częścią, a możliwość ta jest zarezerwowana dla wąskiej, uprzywilejowanej intelektualnie i finansowo grupy ludzi. W tego typu dyskusjach często pada argument, że taki kształt finansowania kultury jest zaprobowany społecznie: masy nie wychodzą na ulice, by przeciw niemu protestować, gdyż wiedzą, że jest to dla nich na dłuższą metę opłacalne. To ciekawy argument, w którym ci przedstawiani przed chwilą jako bezmyślni konsumenci stają się samoświadomymi podmiotami. Warto jednak pamiętać o oczywistym fakcie, iż aktualny system prawny projektujący istnienie określonych instytucji i form życia społecznego jest zawsze mutacją poprzedniego systemu, co oznacza, że społeczeństwo nigdy samoświadomie nie określa całości praw, wedle których żyje, a ewentualnie zmienia je w kilku kluczowych w danym momencie obszarach. Ma to dwie konsekwencje: po pierwsze nie można argumentować, że społeczeństwo rzeczywiście zgodziło się na finansowanie kultury, gdyż nikt z nas takiej zgody nie wydawał, po drugie wskazuje to na trudność zmiany aktualnego *status quo*, szczególnie, jeśli weźmiemy pod uwagę, że społeczeństwo nie ma pojęcia o tym, co dzieje się w badaniach literackich, zaś sami literaturoznawcy nie mają interesu (tak im się wydaje) w odbieraniu sobie dotacji państwowych. Funkcjonujące nawet w stanie permanentnego kryzysu *status quo* wygrywa zazwyczaj nawet z najwspanialszymi wizjami przyszłości, co jest zresztą zjawiskiem korzystnym. Pytanie: czemu społeczeństwo ma się składać na to, by literaturoznawcy mogli dokonywać autokreacji, nie ma szans pojawić się w publicznej debacie. Dlaczego mamy zmieniać coś, co ostatecznie jakoś działa i przynosi zyski, czemu nikt nie zaprzecza? Co więcej, dodać można, działa w ten sam sposób w większości rozwiniętych krajów (może prócz USA)? Ale argument, że zinstytucjonalizowane literaturoznawstwo działa w innych, bogatych i rozwiniętych krajach, przypomina argument biedaka, który za ostatnie pieniądze kupuje najdroższego szampana. Kupuje, gdyż zauważył, że piją go bogaci, i myśli, że gdy też będzie to robić, stanie się jak oni bogaty. Być może istnieją państwa, które stać na opłacanie ludzi, którzy zajmują się badaniem literatury, ale dopóki taka decyzja – np. oddajemy część naszych pieniędzy na analizę poetyki Biernata z Lublina – nie jest świadomie podjęta przez społeczność, a narzucona przez władzę, której nie da się realnie kontrolować, mamy do czynienia raczej z klasyczną tyranią *status quo* niż dbaniem o dziedzictwo kulturowe. Obrońcy tego dziedzictwa lubią mówić, że artyści i badacze ich twórczości, winni być wyłączeni z obiegu rynkowego, gdyż dają nam coś, czego nie da się przeliczyć na pieniądze. Jest to jednak forma masochizmu społecznego, w którym na barki tych, którzy nie posiadają żadnych talentów, nakłada się ciężar utrzymywania tych uzdolnionych. Gdy odpłatą za takie uciemienie jest technologia medyczna, która pozwala nas leczyć, można jeszcze mówić o pewnej sprawiedliwości, gorzej, gdy nagrodą jest niezrozumiała powieść czy dziwaczny obraz, wspierane komentarzem, który niczego nie wyjaśnia i wykluczającym dyskursem, odsądza-

jącym miłośników innych form kultury od czci i wiary. W takim wypadku możemy odnieść wrażenie, że coś jest nie tak.

Nie ma sensu ciągnąć dalej tej argumentacji, przede wszystkim dlatego, że dyskusja między zwolennikami liberalnego państwa-minimum a paternalistycznego państwa opiekuńczego jest ogólnie znana. Na koniec chciałbym powiedzieć parę słów o zysku, który mogliby odnieść sami literaturoznawcy z uwolnienia ich dyscypliny od państwowej kontroli. Mówiąc o kontroli, chcę podkreślić właśnie opresyjny charakter odgórnego finansowania naszej dyscypliny. Tak samo jak w lewicowym opisie zasady rynku narzucają producentom kultury jedyny możliwy kształt, jaki może przyjąć ich rzekomo niezależna praca, tak w tym opisie instytucja literaturoznawcza ogranicza kształt pracy literaturoznawców. To ograniczenie (zbawienne w przypadku dyscyplin posiadających solidne uzasadnienia zewnętrzne) polegające na uwolnieniu od konieczności bezustannego potwierdzania przydatności przez weryfikację rynkową, prowadzi w przypadku dyscypliny o tak silnym komponentie autokreacyjnym do zmarginalizowania jej wpływu na rzeczywistość. Pozbawiony nacisku uzasadnień zewnętrznych paradygmat literaturoznawczy karmi się sobą i swoją własną historią – zarówno tą dyscyplinarną, jak i instytucjonalną. W obrębie historii dyscyplinarnej prowadzi to do badania wszystkiego na wszystkie możliwe przez paradygmat sposoby, co określiłbym – odwołując się do Feyerabenda – nie jako *anything goes*, ale jako *everything goes*. Dyscyplina, od której niczego się nie wymaga, dyscyplina pozostawiona sama sobie, skupia się przede wszystkim na produkowaniu instytucjonalnych oznak działania. Oczywiście realizacja wymogów instytucjonalnych może prowadzić do zysków społecznych, ale decyzja ta pozostawiona zostaje samym badaczom, ich kreatywności i poczuciu odpowiedzialności, a nie jest wymuszona przez strukturę dyscypliny. Prowadzi to do degeneracji podstawowego zadania literaturoznawców, a więc nauczania literatury. Oferowanie studentom darmowych studiów i zwolnienie dyscypliny z weryfikacji rynkowej sprawia, że wydziały literaturoznawcze handlują dziś nie wiedzą czy umiejętnościami, ale przede wszystkim dyplomami. Studenci traktują filologię jako łatwe źródło zdobycia dyplomów, które są konieczne, by zdobyć pracę, zaś literaturoznawcy potrzebują studentów, by legitymizowali przydatność dyscypliny. Obie strony zapewniają sobie możliwość spełnienia formalnych wymagań (które bez jakiegokolwiek straty społecznej mogłyby zniknąć), a nie dają sobie tego, co naprawdę cenne – nie wymieniają realnych umiejętności na prawdziwe pieniądze. Wprowadzenie mechanizmu rynkowego spowodowałoby, że literaturoznawcy konkurowaliby ze sobą o sprzedaż najlepszego jakościowo produktu, a przestaliby oferować produkt, na który popyt w sztuczny sposób wykreowało państwo, a co za tym idzie waga i znaczenie dyscypliny by wzrosły.

To niebezpieczne marzenia. Ale proszę się nie bać. Tyrania *status quo* nie dopuści do takich zmian. Literaturoznawcy nadal będą badać poetykę zapomnianych pisarzy, społeczeństwo nie zacznie interesować się polityką, a studenci nadal dostawać będą dyplomy, opanowując 5% materiału. Możemy spać spokojnie.

Abstract

Stanisław WÓJTOWICZ
Adam Mickiewicz University (Poznań)

Literary studies: a legitimacy in crisis

The author offers a discussion on the legitimacy of literary studies being put in crisis as the role of literature is getting marginalised in the society. Literary scholars find it increasingly hard to give a decent reply to the question about what profits or gains from practicing their discipline can be offered to those not dealing with it. Literary studies and research appear self-creative most of the time, as they serve the purpose of building the identities of those engaged in the discipline. This, however, is contradictory to the fact that the domain takes advantage of public funding – with the result that the society provides means to literary scholars who tackle their self-creation.